

MAGAZYN OPINII

Pismo

GRUDZIEŃ 2024 | NR 12 (84)

REPORTAŻ

Niedzielni z wyboru

ESEJ

Niemcy: koniec ery stabilności

Nasze emerytury są bezpieczne

PROZA

Orbitowski pod choinkę

CENA: 19,99 zł (W TYM 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

12 >

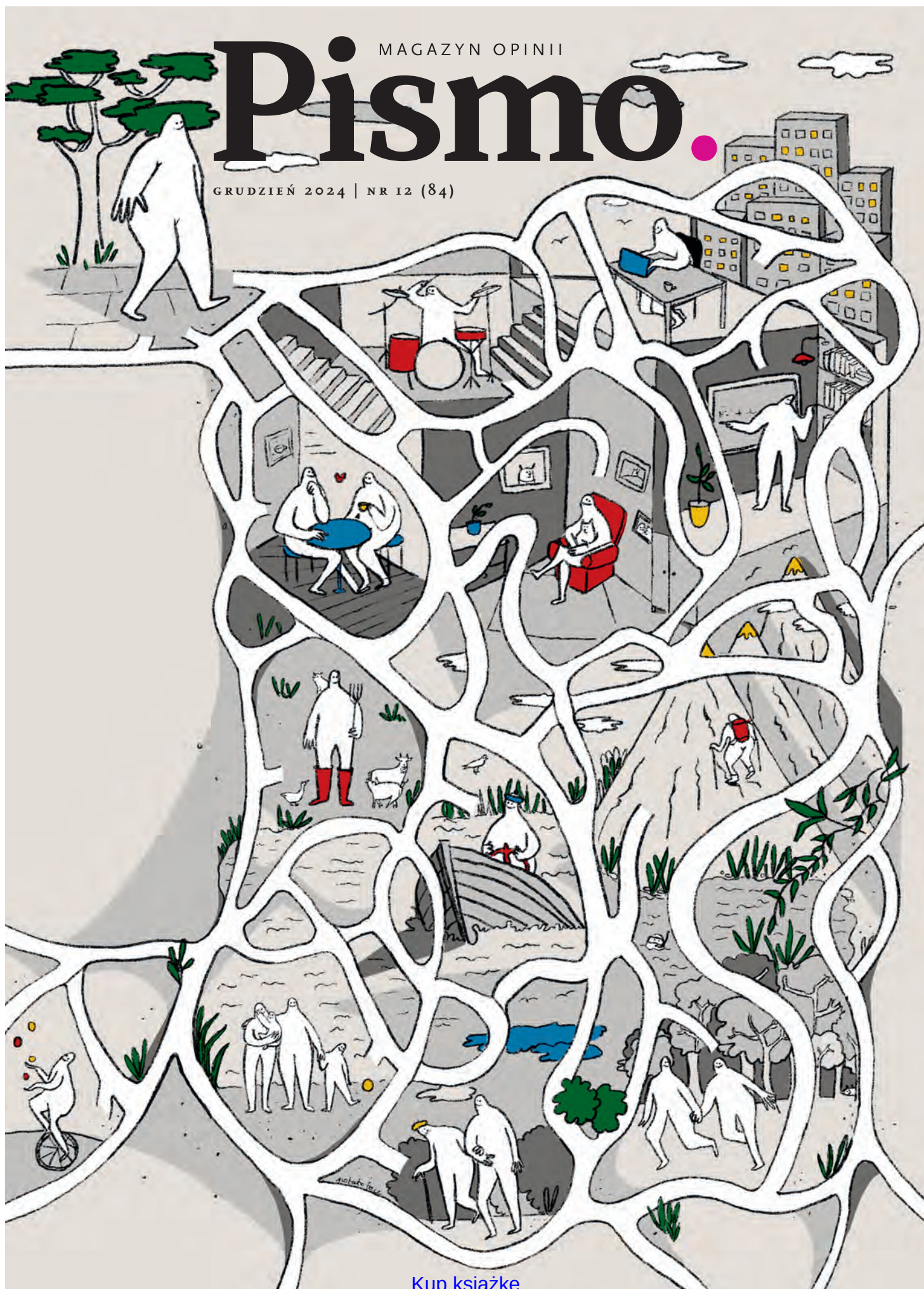


9 772544 502401

MAGAZYN OPINII

Pismo

GRUDZIEŃ 2024 | NR 12 (84)



Kup książkę

***W TYM ROKU PODARUJ BLISKIM
COŚ WIĘCEJ NIŻ PREZENT.
WRĘCZ IM CZAS SPĘDZONY RAZEM W TEATRZE!***

NASZ VOUCHER TO IDEALNY PODARUNEK NA ŚWIĘTA! SZEROKI WYBÓR SPEKTAKLI
I TERMINÓW, ABY DOPASOWAĆ SIĘ DO WASZEGO WSPÓLNEGO CZASU.



STUDIO
teatrgaleria

TEATR STUDIO IM. STANISŁAWA IGNACEGO WITKIEWICZA
PAŁAC KULTURY I NAUKI, PL. DEFILAD 1, WARSZAWA
WWW.TEATRSTUDIO.PL

[Kup książkę](#)


KUP VOUCHER JUŻ DZIŚ!



MAGAZYN OPINII
Pismo.

GRUDZIEŃ 2024

PROZA

Bracie, bracie | 6
ŁUKASZ ORBITOWSKI**Uważajcie na fałszywych proroków** | 88
ADELAJDA TRUŚCIŃSKA

POEZJA

Gruszka | 3
WIOLETTA GRZEGORZEWSKA**Podpis** | 28
RAFAŁ RUTKOWSKI**śnieg retrospekcja** | 85
MARTA PODGÓRNIK

OBRAZ

W KADRZE **Łukasz** | 4
AMADEUSZ ŚWIERKFOTOREPORTAŻ **A ty masz dzieci?** | 32
JULIA ZABRODZKAKOMIKS **Safe Space Ship** | 60
BEATA PYTKOW RAMACH PISMA **Quipu menstruacyjne** | 86
ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA o CECILII VICUŃIŻARTY RYSUNKOWE
HENRYKOKŁADKA **Pan(i) swojego losu**
KATARZYNA BELCZYK | Potato Face

FELIETON

2 | ROZMOWY Z K. **Czy można spać z mężem przyjaciółki?**
KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytanie czytelniczki96 | **À propos niedzielnoci**
ZUZANNA KOWALCZYK

APTECZKA

65 | **Co w niej trzyma...**
DIDIER ERIBON, pyta MATEUSZ ROESLER

REPORTAŻ

16 | **Wolne od dzieci**
EWA PLUTA sprawdza, co stoi za wyborem życia bez potomstwa

ESEJ

42 | **Nie taki ZUS straszny, jak go malują**
KAMIL FEJFER łagodzi nasze emerytalne niepokoje
52 | **Niemcy się chwieją**
KAROL JANOŚ wskazuje źródła kryzysu politycznego u naszego sąsiada zza Odry

PORTRET

66 | **Samotność Jodie Foster**
JORDAN KISNER opowiada o drodze aktorki do życia na własnych zasadach

Z PISMEM U....

74 | **Izabeli Dłużyk, pani od ptaszków**
ŁUKASZ PILIP wysłuchuje historii dokumentalistki dźwięków, wyróżnionej przez BBCMAGAZYN OPINII
Pismo.Pismo. Magazyn Opinii
www.magazynpismo.plWydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957Prezes zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie zarządu:
Urszula Kifer, Kalina WyszynskaAdres redakcji: Pismo. Magazyn Opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa
Redaktorka naczelna: Urszula Kifer Redaktorki prowadzące: Katarzyna Kazimierowska (sekreterarzowanie redakcji),
Magdalena Kicińska, Zuzanna Kowalczyk Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski Felieton: Karolina Lewestam
Redakcja: Joanna Dolecka, Sylwia Niemczyk, Zofia Sawicka, Ilona Turowska Korekta: Monika Marczyk,
Dorota Śrutowska Wydanie cyfrowe: Ewa Pluta, Iga Gromska Wydanie audio i audioseriale: Barbara Sowa
Projekt makiety: Jacek Utko Redakcja artystyczna: Karolina Mazurkiewicz Skład i łamanie: Marta Juchnowicz-Bierbasz
Szef marketingu i sprzedaży: Paweł Cybulski Marketing: Mateusz Roesler Media społecznościowe: Marta Szymczyk
E-commerce: Anna Ostrowska Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec Fundraising: Inez JaworskaRedakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

Kup książkę



KAROLINA LEWESTAM (ur. 1979), dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma”.

Droga K.!

Czy miłość może być zła? Kocham męża mojej przyjaciółki i on też mnie kocha. (...) nie będę wypisywać tu szczegółów naszego romansu, bo nie o to chodzi, ale interesuje mnie Twoje zdanie: czy prawdziwa miłość może usprawiedliwić coś takiego? Moja przyjaciółka była ze mną w bardzo trudnych dniach, więc to normalne, że czuję się z tym ogromnie niekomfortowo. (...) Ale ta miłość teraz to dla mnie wszystko.

Rozdarta

Czy można spać z mężem przyjaciółki?

Droga Rozdarta!

Czy Twój romans można moralnie usprawiedliwić? Ależ tak, oczywiście, jak najbardziej! Nie podajesz mi, co prawda, zbyt wielu szczegółów; nie wiem, ile macie lat, jak długo znasz swoją przyjaciółkę, jaka jest relacja jej i męża, czy i ile dzieci macie z osobna i zbiorowo. Ale potrafię sobie wyobrazić wiele scenariuszy, w których pozostajesz całkowicie bez winy w sytuacji takiego romansu; ba, w niektórych Twoja decyzja jest nie tylko usprawiedliwiona, ale wręcz godna pochwały.

Scenariusz numer jeden: Twoja przyjaciółka, znana z seryjnych małżeństw, była niegdyś cudowną osobą, ale od kiedy zamieszkała w omszałym zamku, jakoś się zmieniła. Wasz kontakt stał się sporadyczny i pełen dziwnych napięć. Kiedy ją odwiedzasz, nerwowo spogląda w stronę zamkniętego pokoju na parterze. Jej obecny mąż zwykle gra rzewnie na skrzypcach przy akompaniamencie deszczu i wysyła Ci krótkie, błagalne spojrzenia, które sprawiają, że delikatnie drżą Ci zastawki serca. Pewnej nocy (a była to ciemna i burzliwa noc) odwiedziłaś znów zamek, ale JEJ w nim nie było, wyjechała. Był tylko mąż, z pękiem kluczy w dłoni i szaleństwem w oku. Ona przykazała mu nie otwierać tajemniczych drzwi, ale pchnięci prze-czuciem, otworzyliście je razem i... odnaleźliście tam wysuszone ciała jego zamordowanych poprzedników. Kiedy oboje zrozumieliście, że on może być następny, jego ręka znalazła Twą, Twoje włosy musnęły jego wargi, a potem namiętność, wzmagana przerażeniem, przetoczyła się przez wasze ciała, podobnie do burzy toczącej się nad zamkiem. Teraz nie zdradzacie się z Waszą miłością przez paraliżujący strach, jaki w Was budzi Sinobroda, tfu, Sinowłosa. Ale planujecie ucieczkę, ucieczkę w nieznane, z dala od ciemności i zła...

Scenariusz numer dwa: mąż Twojej przyjaciółki znieścacka odkrył, że jest ona tak naprawdę jego matką. Nie mogą więc pozostać razem, niestety, ale racja stanu (ona ma na imię Jokasta i jest królową) wymaga utrzymywania pozorów, lud Teb się tego domaga. Wyświadczasz jej więc poniekąd przysługę, odsuwając od niej męża. I wyświadczasz też przysługę jemu, bo jak z nim nie sypiasz, to chłopak co rusz próbuje sobie wykluć oczy przy akompaniamencie za-wodzeń chóru, który z jakiegoś powodu bez przerwy Wam towarzyszy.

Scenariusz numer trzy: Twoja przyjaciółka jest złym kretem, Ty jesteś królem elfów, a jej mąż – Calineczką.

Scenariusz numer cztery: mąż i przyjaciółka wspólnie zgodzili się na otwarcie swojego małżeństwa. Twoja przyjaciółka więc wie o wszystkim i generalnie jej to nie przeszkadza.

A jeśli przypadkiem nie zachodzi żaden z tych scenariuszy... Ech, Rozdarta. Kto z nas niczego złego nie zrobił, niech pierwszy rzuci kamieniem. Kto nigdy nie czuł, jak miłość otwiera go na Innego, jak cały świat, który nagle stał się wyraźny jak poranek, widzi się mocniej w jego oczach, niech wie, że wiele stracił; że to jest właśnie miłość. Ale z wnętrza tego elektrycznego zapętlenia nie da się zobaczyć, że to, co się dzieje, jest złe lub niewłaściwe; to musi być dobre, bo jest przecież piękne, mówią zakochani. Dlatego powiem Ci to ja: to nie jest w porządku. To nie jest OK. Tego się nie da usprawiedliwić.

Czy masz się wycofać? Nie mnie pisana jest ta decyzja, ale jedno wiem na pewno: gdy działa się nie fair, najmniejszym okrucieństwem szacunku, jaki możesz dać poszkodowanej, jest zaakceptowanie zła swojego czynu, a nie szukanie usprawiedliwień.

Kochana Rozdarta, gdybyś mówiła językami ludzi i aniołów, a miłości byś nie miała, byłabyś jako miedź brzęcząca albo cymbał brząmiący. Ale jeśli masz miłość, ale to jest miłość potajemna i niszcząca zaufanie, relacje i czyjeś życia, to nawet z taką miłością jesteś trochę jak ten cymbał.

—
Czasem o trudnych rzeczach dobrze jest napisać do kogoś, kto jest daleko. Napisz do mnie. rozmowyzk@magazynpismo.pl

Kup książkę

POEZJA

Gruszka

WIOLETTA GRZEGORZEWSKA

—

Dla Macieja

Ukradłam ją z ogrodu Virginii Woolf,
w tamten deszczowy dzień,
bo przypomniała mi zapach twojej skóry,
wsunęłam ją ukradkiem do kieszeni,
gdy turyści fotografowali klomby
i moczarki w oczku wodnym,
robili selfie przy grobie pisarki.

W drodze powrotnej wzdłuż rzeki Ouse
zaciskałam dłoń na zimnym owocu,
wspominając wyprawę do Rodmell,
krowy na ścieżce i szczekanie psa,
który miał być naszym jedynym dzieckiem,
ale umarł kilka miesięcy później.

Jest taka cisza, w której tykanie zegara
zmienia się w stukot kół pociągu,
uchylasz drzwi dworca
i stajesz przede mną z bukietem róż,
czas na kilka sekund przestaje płynąć
w miąższu gnijącej gruszki.

WIOLETTA
GRZEGORZEWSKA

(ur. 1974), pseudonim Wioletta Greg, pisarka. Autorka kilku tomów poetyckich i powieści: *Guguły*, *Stancje*, *Dodatkowa dusza*, *Wilcza rzeka* oraz książki dla dzieci *Lola i ptaki*. Jej *Guguły* znalazły się m.in. w finale Nagrody Literackiej Nike, Nagrody Literackiej GDYNIA, a w przekładzie Elizy Marciniak otrzymały nominację do nagrody brytyjskiego Pen Clubu w Wielkiej Brytanii, National Book Award w USA, międzynarodowej nagrody Bookera.

[Kup książkę](#)



W KADRZE z cyklu *Jedni z nas*

Łukasz

zdjęcie i tekst AMADEUSZ ŚWIERK

Dziesięć lat temu Łukasz Koźlik (wówczas dziewiętnastoletni) postanowił skonstruować humanoidalnego robota. Pomysł pojawił się po tym, gdy Łukasz trafił na pochodzącą z lat 50. XX wieku koncepcję siłownika pneumatycznego autorstwa amerykańskiego inżyniera i fizyka Josepha McKibbena [siłownik ten jest zwany mięskiem pneumatycznym, bo swoim działaniem przypomina ludzki mięsień – przyp. red.].

Łukasz chciał zbudować robota o konstrukcji jak najbliższej ludzkiej anatomii i naśladującej biologię działania ludzkich części ciała. Kierował się wizją maszyny wyręczającej człowieka w codziennych pracach domowych. Zaczął od ręki jako potencjalnie najtrudniejszego i najważniejszego elementu. Prototyp, skonstruowany w garażu, był prostym metalowym szkieletem, napędzanym ręcznie tłoczonymi strzykawkami. Daleko mu było do sprawności ludzkiej ręki. Łukasza to jednak nie zraziło. Zaczął studiować anatomię, uczestniczyć w sekcjach zwłok, by poznać działanie ludzkiego ciała. Tysiące godzin prób i błędów oraz pokonywanie technologicznych ślepych zaułków doprowadziły do momentu, w którym film prezentujący działanie i ruchy robotycznej ręki stał się hitem internetu. W parze z rozgłosem pojawił się zagraniczny kapitał. Dzięki niemu w 2021 roku Łukasz założył Clone Robotics.

Dziś zespół Clone Robotics liczy trzydzieści siedem osób, a firma właśnie otworzyła swój oddział w kalifornijskiej Dolinie Krzemowej. W październiku 2024 roku zaprezentowano światu korpus robota, na który składają się obie ręce, tułów i głowa. Projekt wymaga jeszcze przygotowania nóg oraz stworzenia specjalnego oprogramowania, zanim zostanie wprowadzony na rynek.

Więcej zdjęć z tegorocznego cyklu na magazynpismo.pl/w-kadrze



[Kup książkę](#)

Bracie, bracie

tekst ŁUKASZ ORBITOWSKI

Dla Przemysława Króla

—
U nas na Spokojnej mieszka sobie pan Kamil. Ma tak z pięćdziesiątkę, nigdy się nie ożenił i zarabia dobre pieniądze jako księgowy w dużej firmie geodezyjnej. Popatrzysz na takiego i pomyślisz – zwykły gość. Zakupy robi na placu, tuż koło nas. Ciągnie za sobą wózek. Lubi kielbasy, góralskie sery i pomidory, często kupuje całego kurczaka, tylko ze wsi, bo na takiego z Biedronki w życiu by nie spojrzął, a także mnóstwo chleba i kukurydzy. Sklep zoologiczny sprowadza ślimaki specjalnie dla niego. Kamil czasem zachodzi na kielicha do Egon, ale nigdy się nie awanturuje.

Problem z nim był tylko raz, jak zalał sufit sąsiadowi. Mokry tynk odpadał jak ciężkie płyty śniegu, więc wściekły sąsiad poleciał do Kamila. Ten początkowo nie chciał go wpuszczać i ustąpił dopiero pod groźbą wezwania policji. Okazało się, że w pokoju dziennym, tam, gdzie normalny człowiek ma telewizor i sofę z podnóżkiem, Kamil zrobił sobie basen, szeroki na cztery metry i na metr głęboki. W basenie pływał karp wielki jak buldog. Sąsiad zawezwał ekspertów i zrobiła się afera, bo zaraz wyszło, że taka ilość wody grozi nie tylko zalaniem, lecz także przeciążeniem stropu. Basen razem z karpem mógł spaść temu nieszczęśnikowi na głowę.

Problem w tym, że Kamil dostał szału i nie chciał słyszeć o likwidacji basenu, oferował za to wzmocnienie stropu na własny

koszt i proponował nawet sąsiadowi zamianę mieszkań za sutą dopłatą, byleby ten tylko oddał mu swój parter. Nic z tego nie wyszło. Basen rozebrano, karp wylądował w wannie, Kamil myje się w misce i szuka małego domu pod Krakowem, gdzie mógłby się wprowadzić z tą rybą. Pewno tak zrobi. Będzie mu brakowało zakupów na placu i drinków w Egonie.

Sąsiad nie miał pojęcia, o co chodzi z tym karpem, ja jednak wiem, bo tak jak Kamil urodziłem się tutaj i całe życie spędziłem na Spokojnej. Dawno temu było głośno o Kamilu i jego bracie. Tak, był i brat. A ta historia może i zaczyna się śmiesznie, lecz skończy się zupełnie inaczej. Mnie samego boli, gdy o niej myślę, o tamtym grudniu 1986 roku, o dniu przed Wigilią, o wędrówce dusz przez nocne miasto do lodowatego kamieniołomu.

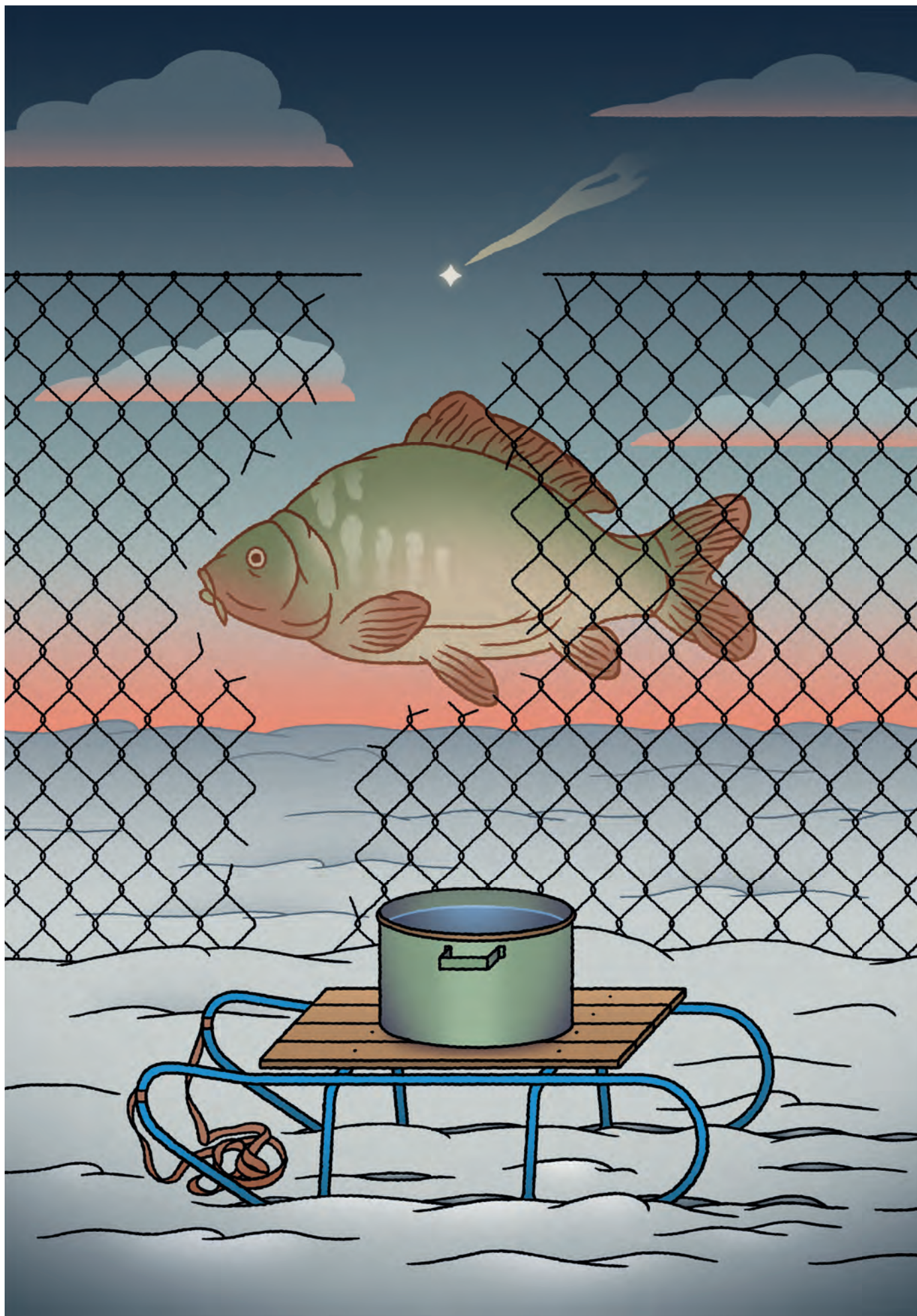
—
TEGO ROKU zima była ostra. W grudniu, tuż przed świętami, zasypało drogi do Olkusza i Pieskowej Skały, pociągi łapały kilkunastogodzinne opóźnienia, grzęznąc w twardym śniegu, a znalazł się i taki, co twierdził, że pewnemu facetowi odpadło zamarznęte ucho, kiedy zdejmował czapkę przed kościołem Misjonarzy. Kościelne kielichy i monstrancje owinięto w płótno, żeby księżom i ministrantom nie pomarzęły dłonie, za to

podczas nabożeństwa ludzie drżeli z zimna, puszczając obłoki białej pary z ust.

Wiele ulic Krakowa przypominało białe tunele, którymi z wielkim trudem przeciskali się pługi i autobusy wiozące pracowników do Huty Lenina. Na miasto wylegli studenci z łopatami, rozładowywali też koks, piasek i węgiel z wagonów na dworcu towarowym. Psy grzęzły w zaspach. Tramwaje przestały jeździć, bo popękały szyny, u kogoś trzasnęła rura, ktoś inny spalił się żywcem, bo zostawił na noc włączoną farelkę, radio gadało coś o dwudziestym stopniu zasilania i tylko my, dzieci, byliśmy przeszczęśliwie.

W domach pachniało już Bożym Narodzeniem – grzybami, barszczem, no i karpem w galarecie. Budowaliśmy fortece ze śniegu, zalewaliśmy je wodą, tak aby stwardniały, i toczyliśmy bitwy na śnieżki aż do zmroku, kiedy matki z okien zaczynały krzyczeć, że kolacja, że słyhać nas na całe miasto, że każdy z nas dostanie zapalenia płuc i spędzi święta w łóżku. Co z tego? Mieliliśmy swój Berlin, swoje Termopile.

Na sanki chodziło się do parku Jordana. Całkiem niedaleko. Znajdowała się tam górka usypana właśnie w tym celu, z długim zjazdem, gdzie dało się nabrać fantastycznego wręcz rozpędu i jeszcze zakręcić parę kółek na lodzie. Kamil i Piotrek mieli zresztą wspaniałe sanki z metalowymi płozami (myśmy mieli płozy drewniane) barwionymi



na błękit. Rozpędzali się tym taranem tak, że każdy przy zdrowych zmysłach zeskakiwał im z drogi. Kamil zawsze siedział z tyłu, młodszego brata dawał na przód i obejmował mocno, Piotrkowi podczas jazdy oczy dosłownie wylewały się na całą twarz, darł się okropnie, by wreszcie razem z bratem wylądować w śniegu.

Dopiero teraz rozumiem, jak bardzo byli różni. Kamil raczej się nie wychylał. Nie chodził na wagary i odrabiał zadania domowe. Gdy latem ruszaliśmy na grandę, robił to niechętnie i najczęściej zostawał na czatach. Za to Piotrek rwał się do wszystkiego, może dlatego, że był młodszy i wciąż musiał coś udowadniać. Zawsze się cieszył, gdy przy rżnięciu w gałąź udało mu się okiwać kogoś starszego, fantazjował, że zostanie podróżnikiem albo komandosem i raz odważnie przywiązał sznur puszek do trabanta faceta od matematyki.

Okropnie lubił zwierzęta. Jak widział psa, to wprost nie mógł się powstrzymać od głaśkania i baraszkowania. Z tego powodu miał nawet niewielką bliznę, która szła mu przez buzię – jakiś wilczur ugryzł go w wargę. Wyłapywał traszki żyjące w dalekim Sudole, godzinami potrafił wystawać w sklepie zoologicznym i wiercił rodzicom dziurę w brzuchu o choćby chomika. Jego ojciec nie chciał o tym słyszeć. Kto będzie tego chomika karmił? Kto będzie gówna wyrzucał? Poza tym takie zwierzątko okropnie śmierdzi i błyskawicznie zdycha, tyle z niego pożytku.

Nieszczęście zaczęło się dwa dni przed Wigilią, kiedy ten zapracowany, niechętny wszystkiemu, co żyje, ojciec przyniósł do domu żywego karpia. Ryba wylądowała w wannie, jak to się wtedy często zdarzało. Niech sobie pływa, póki w wigilijny poranek nie pójdzie pod nóż. Piotrek pokochał to stworzenie natychmiast, całym swoim gorącym sercem. Błagał rodziców, aby je zatrzymali, nadał mu imię – Zenon, próbował nawet ochrzcić. Tylko jak pokropić wodą coś, co już w niej pływa? Z tego, co wiem, dostał kompletnej histerii, wył i dławiał się łzami. Obiecował, że będzie przynosił same piątki, sprzątał po każdym obiedzie i bez protestów postoi w kolejce po cukier, jeśli tylko rodzice zgodzą się oszczędzić Zenona.

Ich odpowiedzi łatwo się domyślić. Piotrek zaczął więc samodzielnie snuć plany

uratowania ryby. Najpierw planował zanieść ją do Wisły, ale Kamil uświadomił mu, że w tych brudnych wodach Zenon nie doczeka Nowego Roku. Należało poszukać stawu, jeziora. Weź znajdzie taki w centrum Krakowa. Piotrek rozważał więc Bagry i daleki Kryspinów, tę gliniankę, gdzie rodzice nigdy nie pozwalali się im kąpać ze względu na niebezpieczne wiry. Pozostał więc Zakrzówek, czyli zalany kamieniołom położony jakieś cztery kilometry od Spokojnej. Teraz jest tam całkiem ładnie, wtedy raczej nie było. Wysokie skały wapienne schodziły stromo do lazuruwej wody. Na dnie leżały kruszarki, wiertła do skał i trupy samobójców. „Zenonowi się spodoba” – oświadczył Piotrek, weźmie go tam i wypuści. Kamil zaraz na niego naskoczył. Nie będzie żadnego ratowania. Jak niby chce dotrzeć na Zakrzówek? W czym poniesie rybę? Rodzice dostaną szału. Poza tym on, Kamil, serio chce Zenona zjeść.

BRACIA DZIELILI pokój i spali na piętrowym łóżku. W tamtych czasach kładliśmy się wcześniej, chyba że wieczorem leciał amerykański serial sensacyjny. Kamil nie mógł zasnąć, jak to bywa przed Wigilią. Widział więc, jak Piotrek w całkowitej ciszy zsuwa się z górnego łóżka, ubiera się i na palcach idzie do łazienki, gdzie w wannie wciąż pływał Zenon.

– Co ty wyrabiasz, cymbale jeden? – spytał Kamil, w sumie niepotrzebnie, bo Piotrek już zanurzał ręce w wodzie, próbując pochwycić karpia. Ten ciskał się po wannie, falował skrzelami, po bokach lśniły pasma zielonkawej łuski.

– Zabiorę go i wypuszczę, tak jak mówiłem. Sam pójde, ty śpij dalej, nic ci do tego.

Bracia rozmawiali jeszcze chwilę, szepotem, stojąc na mokrej, popękanej podłodze przedwojennej łazienki, machali przy tym rękami, Kamil bił się w czoło otwartą dłońią, ale im dłużej trwała ta gadka, tym lepiej rozumiał, że nie zmusi brata do zmiany decyzji.

– Jak go poniesiesz?

– W wiadrze!

– Nie udźwigniesz wiadra, na pewno nie z taką rybą!

– Najwyżej będę szedł dłużej! Albo popocham to wiadro.

Jeśli nie możesz kogoś pokonać, musisz się do niego przyłączyć. Tę mądrość znają wszyscy wielcy wodzowie, a tej nocy, mniej więcej o dziesiątej, zrozumiał ją i Kamil. Kazał bratu zostać w łazience. Nadstawił ucha. Cisza. Za ścianą spali rodzice. Piotrek bardzo ostrożnie otworzył szafę obok zlewu i wydobyl stamtąd wielki, blaszany gar, w którym mama czasem gotowała bigos z kiebasą, boczkiem i cukinią. Bez jednego brzęknięcia, na płytkim oddechu wrócił z nim do łazienki. Podwinął rękaw pidżamy, błyskawicznie chwycił Zenona za skrzela, wyszarpnął, ryba zatrzepotała się gwałtownie i wylądowała na dnie garnka, do którego chłopcy zaraz nalali wody.

Za oknem padał drobny śnieg. Kamil wcisnął Piotrka w szare gacie i spodnie na szelkach, do tego zmusił go, by założył podkoszulek z długim rękawem, wełniany sweter, który strasznie drażał, watowaną kurtkę i czapkę uszatkę. Wskazał na gar.

– Weź spróbuj to podnieść – poradził. Piotrek spróbował, co wyszło mniej więcej tak, jak można się było spodziewać. We dwóch przetargali Zenona pod drzwi wejściowe. Kamil kazał bratu tam poczekać, zabrał klucze z haczyka i poszedł do piwnicy, gdzie czekały wysłużone sanki o pięknych błękitnych płozach. Wystawił je na klatkę schodową, ostrożnie zamknął piwnicę i odłożył klucze na miejsce.

Zamknęli drzwi od mieszkania i stali przez chwilę pod nimi, nasłuchując, czy nie zbudziło się żadne z rodziców. Potem wspólnie chwycili garnek i znieśli bardzo ostrożnie, sapiąc z wysiłku. Zenon nerwowo poruszał ogonem.

Drobinki śniegu na Spokojnej lśniły w pomarańczowym świetle latarni. Wszystkie okna czarne. Nikogo, niczego. Chłopcy solidarnie chwycili za sznurek i pociągnęli sanki z Zenonem po miękkim, białym chodniku.

NA KROWODRZY żył menel znany jako Docent. Jego jako pierwszego bracia spotkali podczas swojej wędrówki.

Nikt nie wiedział, jak naprawdę miał na imię i dlaczego wylądował na ulicy. Powiadali, że rzeczywiście kiedyś pracował na uniwersytecie, stracił robotę, gdy wstawił się

za studentami w stanie wojennym, wkrótce żona wywaliła go z domu i trafił na ulicę, zbyt dumny, by iść do przytułku. Możliwe jednak, że ksywa wzięła się z dziwacznej erudycji Docenta, który wypływał z siebie mnóstwo danych statystycznych i żonglował nazwiskami filozofów. Włóczył się z siatkami i plecakiem pełnym sfatygowanych książek. Widywano go na naszym placu, na melinie Banasików w Herbewie, a najczęściej pod delikatesami na ulicy 18 Stycznia, gdzie popijał tanie wino i perorował.

Chłopcy dociągnęli sanki do końca Urzędniczej, zaledwie kilkaset metrów od domu, gdy zza rogu wyłonił się Docent z wysłużonym plecakiem na pogiętym stelażu, ze swoimi siatkami i w wojskowej kurtce. Spod swetra wystawały mu gazety. Policzki miał fioletowe z zimna i maszerował, zwalisty jak Buka, środkiem chodnika. Na widok chłopców przystanął, odłożył siatki i pociągnął z butelki.

– Chcesz trochę? – zapytał Kamila i przełknął wzrok na Piotrkę. – Tobie jeszcze nie dam, jesteś za mały.

Kamil odmówił. Szukał sposobu, żeby obejść Docenta, tymczasem ten już garbił się nad wiadrem, mrużąc zdziwione oczy.

– Dokąd, chłopcy, idziecie z tą rybą po nocy? – spytał i Piotrek powiedział mu prawdę. Maszerują do zalanego kamieniołomu, żeby ocalić biedaka przed młotkiem. Docent popatrzył na nich jak na dorosłych.

– Dobrze, chłopaki, robicie – rzekł. – Trzeba przyzwoicie traktować zwierzęta, bo nigdy nie wiadomo, kim takie zwierzę naprawdę jest.

– No co też pan gada, wiadomo, że to karp, najzwyczajniejsza ryba. – Kamilowi niezbyt podobala się ta sytuacja, poza tym się spieszył, chciał załatwić sprawę jak najszybciej, wrócić do domu z pustym garnkiem i znaleźć jakieś sensowne wytłumaczenie dla rodziców, którzy z pewnością będą chcieli wiedzieć, czemu karp zniknął z wanny.

– Jesteście młodzi, to niewiele wiecie, a już z całą pewnością nie macie pojęcia o duszach – podjął Docent. – Zresztą kto was ma tego uczyć? Ani ksiądz, ani komunista. Co się stanie z moją duszą, gdy umrę, powiedz mi?

– Jak będę dobry, to pójde do nieba – odparł Kamil. – Może dlatego też warto ratować tę rybę.

– Niebo jest zimne i puste, pełne martwych gwiazd i gazowych olbrzymów, jak Jowisz. Tylko taką wiedzę mamy o niebie.

– Docent się rozgadał, najwyraźniej ucieszony, że znalazł rozmówców. – Nie, twoja dusza wejdzie w nowe ciało. W człowieka bądź zwierzę. Kto wie, może w tym karpiu mieszka ktoś, kto niedawno umarł. Skąd pewność, że tak właśnie nie jest?

– Musimy iść, proszę pana. – Piotrek podniósł już sznurek doczepiony do sanek, ale Docent pochylał się nad nim jak rumiany wampir, mówił dalej, machał rękami w welnianych rękawiczkach i wypływał z siebie drobinki śliny:

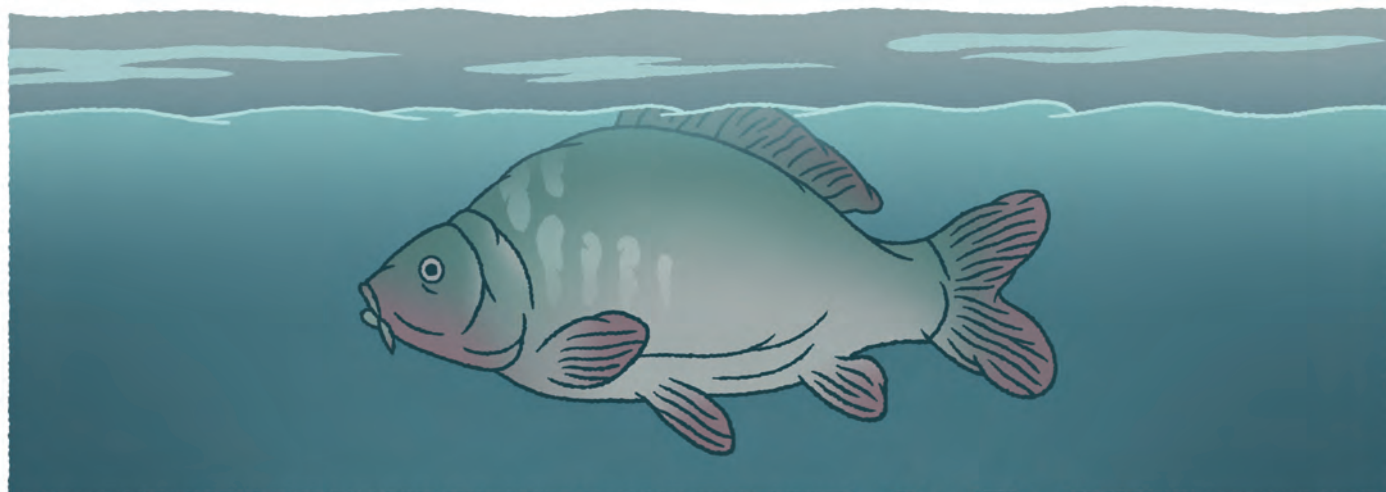
– Czasem jest i tak, że gdy ktoś umiera gwałtowną śmiercią, jego przerażona dusza gorączkowo szuka schronienia i wchodzi w pierwsze żywe stworzenie, które się znajdzie pod ręką. Dlatego ofiary zbrodni

żyją w myszach, kotach i pająkach, dlatego nie powinniśmy zabijać niczego, co żyje, dlatego też was puszcza i nikomu o was nie powiem, bo robicie jak trzeba, powiedz mi, to jak, napijesz się?

Kamil, nie bez wahania, przyjął butelkę od Docenta i pociągnął mocny łyk. Alkohol smakował inaczej, niż się Kamil spodziewał, i wlał ciepło do żołądka. Docent podniósł swoje siatki, chłopcy znów chwycili za sznurek sanek i ruszyli, on w jedną, a oni w drugą stronę – czarne sylwetki oddalające się od siebie w gęstniejącym śniegu.

BLISKO SPOKOJNEJ grasowało dwóch takich niezbyt przyjemnych facetów. Byli trochę starsi od Kamila, dobijali osiemnastki i baliśmy się ich równo, wszystkie chłopaki na dzielnicy.

Na pozór wszystko ich dzieliło, zostali jednak kumplami na zabój. Stajnia pochodził z dobrego domu, jak to się czasem mówi. Matka lekarka, tatko krogulec w Urzędzie Miasta, dom pełen książek, porządne życie. Stajnia demonstracyjnie wzgardził tym wszystkim, poprzekłował sobie uszy, sprawił czarną skórzaną kurtkę, pił mnóstwo jaboli, słuchał Siekiery, Moskwy i lamentów rodziców, kiedy wylatywał z następnej szkoły. Z kolei Rambo nigdzie się nawet nie uczył, przegarał trochę w poprawczaku, a swoją ksywę zawdzięczał wyjątkowej miłości do okładania słabszych po ryjach. Co jeden w drugim widział, mogę się tylko domyślać. Być może mrukiwy, tępy Rambo był ucieleśnieniem prawdziwego życia, brudu naszej



ziemi, o którym tak fantazjował zaszuchany w punku Stajnia, zaś Rambo chętnie korzystał z kasy, którą jego kumpel podkradał rodzicom.

Często kręcili się wokół naszej szkoły i biada temu, kto na ich widok nie wyskoczył z drobniaków. Zachodzili pod akademik, żeby gwizdać na dziewczęta, i rozpijali tanie wina w parku Jordana, jak tej właśnie nocy, kiedy alejką maszerowali Kamil i Piotrek, ciągnąc z wysiłkiem sanki obciążone garnkiem. Na ławce, w swoich skórzanych kurtkach, w golfach naciągniętych na brody i wełnianych czapkach, tych dwóch wyglądało trochę jak kukły porzucone przez niezadowolonego lalkarza.

Na ich widok Kamil szeptem ponaglił Piotra. Liczył, że wyminą tamtych bez kłopotów – i prawie się udało. Już ich minęli, gdy Stajnia podniósł się z ławki, a za nim ruszył kanciasty, obojętny Rambo. Zrównali się z braćmi, biorąc ich z jednej i drugiej strony.

– Dokąd idziecie, chłopaki? Matka was z domu wyrzuciła? – zagadnął wesoło Stajnia. Piotrek już chciał opowiedzieć po raz kolejny o karpie i Zakrzówku, zasznurował jednak usta, zgromiony spojrzeniem brata.

– Wyprowadzamy karpia na spacer – palnął Kamil, przyspieszając kroku. Po bokach alejek piętrzyły się puchate zaspasy, korony drzew lśniły od śniegu, a nad nimi unosił się cudownie obojętny księżyc. Dotarli już do górki saneczkowej i mijali nieczynny w zimie płytki basen. Stąd niedaleko było do wyjścia z parku. Kamil liczył, że gdy tam dotrą, będą bezpieczni, w każdym razie bezpieczniejsi niż teraz. Ocala ich przechodnie, dzielni kierowcy, milicja, ktokolwiek.

– Po co karpie spacer? – Stajnia trącił wodę w garze.

– Karpiu pewno po nic, choć to jego ostatnia frajda przed Wigilią. – Kamil wesołością w głosie usiłował zamaskować strach. – Jutro idzie pod nóż.

– Faktycznie, zadowolony to on nie jest.

– Ale przecież nie o rybę tu chodzi. Mama wreszcie zgodziła się na psa. Mamy mieć spaniela, takiego rudego.

– Świetna sprawa. Twój brat pewno się cieszy! Cieszy ci się morda, mały? Pokaż mi swój szczęśliwy ryj.

Piotrek wyszczerzył się w bezczelnym uśmiechu. Dalej ciągnęli sanki, tak szybko,

jak umieli, a Stajnia i Rambo dotrzymywali im kroku. Kamil zerkał to na jednego, to na drugiego i nagle zapragnął, by Rambo przemówił. By powiedział cokolwiek: „kurwa”, „chuj”, jakiś głupi dowcip, byleby coś drgnęło na tej grubo ciosanej twarzy z mięsistym nosem, a w oczach pojawił się choćby pozór życia. „Niech gada” – prosił Kamil. Na razie mówić musiał jednak on.

– Więc rodzice, zwłaszcza ojciec, długo nie chcieli słyszeć o tym psie, bo myśleli, że nam się znudzi i nie będziemy chcieli z nim wychodzić. Jak mamy ich przekonać? No to wymyśliłem, że będziemy wychodzić z tym karpem, rano, w południe i wieczorem, po pół godziny jak nic. Jutro Wigilia i koniec próby, na sylwestra będzie spaniel.

Stajnia parsknął śmiechem:

– Słyszałeś, Rambo? Jakby chcieli kota, daliby rybę na drzewo. Te, mały, jak tak, to pewno macie imię dla psiaka, gadaj, coście wymyślili?

Piotrek odpowiedział natychmiast:

– Zenon.

– Spaniel Zenon, tego jeszcze nie grali! – Stajnia chyba dostrzegł, że zbliżają się do bramy parku. – Dobra, chłopaki, fajni jesteście, wyskakujcie z kasy i wypad do domu.

– Nie mam ani grosza. Poszliśmy tylko z psem, znaczy z rybą, z Zenonem, na spacer, na co nam pieniądze tutaj. – Kamil wykonał gest, jakby chciał wyrzucić kieszenie kurtki na lewą stronę. Stajnia nachylił się nad Piotrem:

– A ty, mały? Żadnych zaskórniaków na cukierki?

Piotrek potrząsnął głową. Stajnia zwrócił się do kumpla, wesoły jak to on:

– Myślisz, że gdzieś spylimy tę rybę? Dobra, koniec zabawy. Znajdźcie jakąś kasę albo rozstajecie się z wiadrem. Sanki też weźmiemy!

Wówczas stało się coś, czego nikt się nie spodziewał – a już na pewno nie Stajnia. Piotrek rzucił się na niego i siłą impetu obalił go na ziemię – aż głowa walnęła w oblodzoną alejkę – i zasypał go gradem słabych ciosów. Głupi Rambo rzucił się na chłopca, zrobił jednak błąd, ignorując Kamila. Ten doskoczył, wymierzył mu cios w szczękę tak, że Rambo nakrył się nogami, zasadził mu jeszcze kopa czy dwa, ściągnął brata ze Stajni, wetknął mu w dłoń sznurek od sanek

i pognali co sił w stronę alei 3 Maja, za którą rozciągały się Błonia.

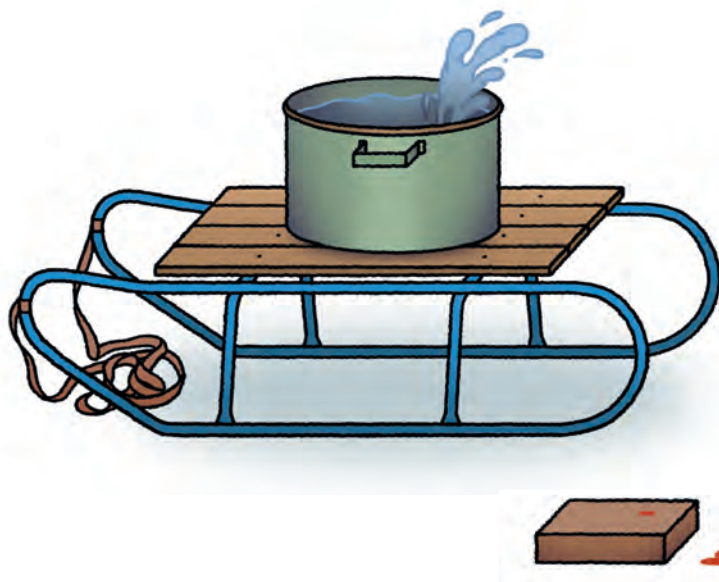
Nie zdołali jednak zbyt daleko się oddalić, nim Rambo ze Stajnią pozbiali się z ziemi i ruszyli w pogoń. Rambo utykał. Stajnia wysunął się naprzód i wrzeszczał, co chłopakom robi, gdy ich dopadnie, jak ich zapierdoli. Z sankami ciężko biec szybko, zwłaszcza gdy na nich w garze chlupocze karp. Kamil wiedział, że przegrają to starcie, za pierwszym razem zwyciężyli tylko dzięki zaskoczeniu. Rozglądał się za cymkolwiek, jakąś bronią, która pomogłaby rozwiązać tę sytuację: drągami, grabiami, kałasznikowem, chciał wołać o pomoc, ale wokół nie było nikogo, tylko lśniący śnieg.

Tamci nadciągali – dwa potwory w czerni, upiory Krowodrzy. Kamil zatrzymał się, w rozpaczę schylił po śnieżkę, liczył, że twarzą, śnieżną kulą spowolni napastników chociaż trochę, znalazł jednak coś lepszego. Zmarznięte palce chwyciły cegłówkę.

Powiem wam jedno, Kamil był zawsze dobry w rzucaniu do celu, wiem, bo grałem z nim w kosza na każdej przerwie. Cegłówka przeokoziółkowała w lodowatym powietrzu i trafiła Stajnię w środek twarzy, gruchocząc nos i wybijając parę zębów. Ze Stajni natychmiast zeszła para i nagle stał się małym chłopcem – runął na kolana, zaczął wyc i szlochać. Nad nim pochylał się zdeorientowany Rambo. Nie wiedział – gonić tych dwóch, czy pomóc kumplowi.

Bracia nie czekali na jego decyzję. Pobiegli w stronę alei i dalej przez Błonia. Ktoś ich wtedy widział? Ja nie, lecz wyobrażam ich sobie, jak lecą co sił, byle dalej, przez białą polanę w środku miasta, unoszeni przez strach i radosne poczucie triumfu nad silniejszym przeciwnikiem – dwie ludzkie kropki i karp na saniach za nimi.

—
ZATRZYMALI SIĘ dopiero pod stadionem Cracovii. Dyszeli ciężko. Piotrek usiadł na sankach, a Kamil obserwował biały placek Błoni. Nikt ich nie ścigał. Zdusił w sobie myśl o tym, co ich czeka w nowym roku, kiedy wrócą do szkoły i gdzieś tam, pod tysiącłatką, na trasie do niej, przy spożywczaku, w bramie, będą czatować milczący Rambo i Stajnia z pokiereszowaną mordą. Jeszcze gorzej, jeśli skrzywdzą brata, a skrzywdzą



na pewno. Kamil postanowił, że będzie się tym martwić później.

Najprostsza droga wiodła Alejami Trzech Wieszców, koło kina Kijów z fantazyjnym ruchomym neonem nad wejściem, ale Kamil zdecydował, że pójda naokoło, przez Salwator. Na Alejach zbyt łatwo ich dostrzec. Kto wie, co knuje tamtych dwóch? Piotrek miał szczerą nadzieję, że Stajnia wciąż jest zajęty płaczem i wypływaniem zębów. Zanurzyli się w stare ulice, odprowadzani przez czarne spojrzenia wysokich kamienic. Wyglądały zupełnie inaczej niż te na Spokojnej – monstrialne, podobne trochę do bajkowych fortów zaludnionych przez trolle, z potężnymi bramami wejściowymi, nad którymi zamaryły rzeźbione zwierzęta: pawie, lwy, rumaki. Jedynie karpia brakowało.

Oblodzonym chodnikiem sanki ciągnęło się łatwiej. Kamil zauważył jednak, że Piotrek trochę się ociąga: gubi rytm, stawia niezdarne kroczki i sapie całkiem tak jak tato, kiedy wraz z wujkiem wnosił nową pralkę na piętro. Powinni się pośpieszyć, wędrowali już ponad godzinę, do Zakrzówka wciąż był spory kawałek, a przecież należało jeszcze wrócić. W pewnej chwili kamienice rozstały się przed nimi, odsłaniając bulwary wiślane i – w oddali, po lewej – bryłę Wawelu.

– Już niedaleko – skłamał Kamil, by dodać bratu ducha. – Niedługo będziemy.

Zatrzymali się na moście. Poniżej skuta lodem Wisła wyglądała jak księżycowa rzeka. Wiał zimny wiatr. Kamil poprawił bratu czapkę i czekał, aż oddech im się uspokoi. Piotrek wspiął się na palce, przechylił przez barierkę. Wbił wzrok w pomarszczony lód na Wiśle i zapytał z lękiem w głosie.

– Co, jeśli Zakrzówek zamarzł?

– No, pewnie zamarzł, co innego miałyby z nim być o tej porze roku? – odparł Kamil i zamilkł, bo dotarł do niego właściwy sens pytania. Co zrobią na miejscu? Zamiast wypuścić Zenona, cisną nim o twardy lód?

– Przy brzegu nie będzie zamarznięta, zobaczysz – odpowiedział w końcu bez przekonania. – Skruszymy kamieniem czy coś. Coś wymyślimy. Na razie nie zavracałbyś sobie tym głowy.

Pociągnęli więc sanki. Kamil parł naprzód, Piotrek zostawał o pół kroku w tyle i co chwilę wypuszczał sznurek z dłoni. Zostawili za sobą most. Minęli ciężkie budynki na Dębnikach, zasłuchani w chrzęst śniegu i własne przyspieszone oddechy. Droga dziwnie się Kamilowi dłużyła. Trasę do Błoń przebyli błyskawicznie (same Błonia z pewnością), teraz się wlekli i można by pomyśleć, że ktoś, może sam Szatan, szczególnie złośliwy w świąteczny czas, rozciąga miasto przed nimi, dodając bezlitosnych kilometrów.

Czy rzeczywiście towarzyszył im diabeł? Jeśli tak, pod jego okiem dotarli do drugiego mostu, prowadzącego na Kazimierz. W przeciwną stronę biegła dwupasmówka ku Kapelance, co oznaczało, że do Zakrzówka już niedaleko. Dwie trzecie drogi za nimi, choć dwupasmówka wyglądała, jakby miała nigdy się nie skończyć. Piotrek z gniewem rzucił sznurek, kopnął sanki, aż zachlupotała woda.

– Jestem głodny! Jestem zmęczony! Jest mi zimno! Chce mi się spać i jeść!

– To był twój pomysł!

– Co z tego?! Jesteś starszy i się zgodziłeś!

Są chwile, kiedy brat ma ochotę udusić brata, nawet jeśli kocha go najbardziej na

świecie. A może właśnie dlatego. Ta akurat chwila, gdy gniew niemal zalewał oczy czerwienią, trwała krótko, bo Kamil zobaczył, że Piotrek rzeczywiście trzęsie się z zimna, zaś nos ma siny jak Docent.

Rozejrzał się. Mogli trochę się cofnąć albo poszukać schronienia w jakiejś bramie. Tylko co to da? Powinni teraz spać, tak jak spało całe miasto. Z jednym wyjątkiem. Na bulwarze wiślanym przysiadł hotel Forum, betonowy krokodyl z podziurawionym pyskiem, bestia naprzeciwko Wawelu. W paru kwadratowych oknach wciąż paliły się światła.

KAMIL NIGDY WCZEŚNIEJ nie był w hotelu. Na wakacje jeździli nad Dunajec, bo tato pasjami łowił ryby, zniknął na całe dnie, by wrócić z pełnym koszykiem, czasem nawet złapał brzanę tak dużą, że nie chciała się w tym koszyku zmieścić, i niósł ją przed sobą jak buławę, otoczony przez dzikie koty. Zajmowali pokój wynajęty od górala, mama robiła śniadania i kolacje, na obiady chodzili do innej góralki, ewentualnie zajeżdżali do Krościenka na szynce bądź pierogi. Nie, hotele należały do zupełnie innego świata, jak Muminki i kosmici z Saturna, do alternatywnej rzeczywistości zamieszkiwanej przez porucznika Borewicza, którego przygody Kamil oglądał potajemnie przez uchylone drzwi.

Do hotelu prowadził szeroki podjazd, a wewnątrz wykończono w drewnie. Naprzeciwko obrotowych drzwi siedział senny portier. Na widok chłopców uniósł głowę i opuścił ją z powrotem. Podłogę wyścielał gruby, ciemnozielony dywan, jak na chacie u arcyksięcia, z sufitu zwisały ciężkie, rozświetlone żyrandole. Sań z karpiem nie dało się dalej pociągnąć. Wzięli więc garnek we dwóch. Kamil ledwo go dźwigał. Po lewej znajdowały się schody prowadzące do pokoi, po prawej przeszkłone wejście do restauracji hotelowej.

Bracia poszli właśnie tam. Kamil uznał, że zapewne słusznie, że nikt nie wynajmie im pokoju, zwłaszcza że nie mają czym zapłacić, zaś senny portier zwiastuje tylko kłopoty. Chłopiec pchnął oszklone drzwi i w tym samym momencie z krzesła przy jednym ze stolików poderwała się piękna kobieta w czerwonej sukience, mniej więcej taka, jakie

rozkochiwał w sobie porucznik Borewicz. Na jej twarzy malowała się radość i nadzieja. Zniknęły, gdy tylko zobaczyła chłopców.

– Och – powiedziała kobieta w czerwonej sukience.

– Och – odpowiedział Piotrek. – Pani jest bardzo piękna. Pani jest księżniczką?

Parsknęła śmiechem.

– Księżniczką po zbójcu, właśnie tak. Co tutaj robicie, dzieciaki? Gdzie wasi rodzice? Który macie pokój? A ten karp w garnku na jaką wam cholerę?

– Pokój dwieście trzystaście – skłamał gładko Kamil. – A co do karpia, cóż, tato wysłał nas po niego, święta w hotelu to zawsze święta!

Oczy Księżniczki jasno świadczyły o tym, że nie wierzy w ani jedno słowo. Zawróciła do stolika po kieliszek szampana. Sięgnęła po papierosa w fifce. Butelka szampana na stoliku była dopita w dwóch trzecich, a popielniczka pełna niedopałków.

– Wiecie co? Pójdę do portiera i zadzwonię do waszych rodziców. Lepiej podajcie mi numer do nich, bo inaczej przyjdzie tu milicja, a tego chyba nie chcecie.

– Nie mamy telefonu – rzekł Kamil.

– Nie mamy rodziców – dodał Piotrek.

Księżniczka uklękła przed młodszym z braci, dotknęła jego czapki, obmacała kolana i rękawiczki, wypuszczając przy tym kłęby papierosowego dymu.

– Jesteście mokrzy, obaj! Chodźcie zaraz tutaj. – Pociągnęła ich do stolika. – Kelner! Dwie ciepłe herbaty! I dwie zupy! Migiem!

W całej ogromnej sali siedzieli tylko oni. Jasne żyrandole, mozaikę na ścianach, no i samego kelnera, który zjawił się natychmiast – wszystko to mieli tylko dla siebie. Księżniczka powtórzyła zamówienie. Piotrek zamrugał zmęczonymi oczami:

– A można jeszcze coś?

Dostali dwie, w butelkach z grubego szkła. Piotrek wypił swoją natychmiast, Kamil pociągał małe łyeczki, świadom, że prawdziwa Coca-Cola to jest naprawdę coś, może nawet zasłużona nagroda za tę część nocy. Na stół wjechał barszcz biały z jajkiem i mnóstwem kiełbasy. No, rewelacja. Księżniczka poradziła już sobie z butelką szampana, zamówiła kolejną i odpalała papierosa od papierosa. Gryzący dym unosił się nad talerzami chłopców.

– Pani jest kierowniczką hotelu? – zapytał Piotrek, wiosłując łyżką.

– Księżniczka i kierowniczką, to dopiero – zaśmiała się znowu, ten śmiech brzęczał i gulgotał, jak monety wrzucone do zamulonej studni. – Ja tylko na kogoś czekam!

– Na kogo? – chciał wiedzieć Piotrek. Brat kopnął go pod stołem.

– Na kogo ja mogę czekać, no pomyślmym! Skoro już zostałam księżniczką, to z całą pewnością czekam na księcia. Znać bajki, taki właśnie jest los księżniczek!

Piotrek popatrzył po stole, na popielniczkę pełną niedopałków, na butelkę szampana, która zastąpiła miejsce tej wypitej, wreszcie na samą Księżniczkę, z rozsmazanym makiżajem i lufką w drżącej dłoni.

– Trochę już pani czeka, co?

– A i owszem. Czekam. Na niektórych warto czekać. Mój Książę ma swoje ważne sprawy, całe, że tak powiem, życie, i zdarza mu się spóźnić, wiecie sami, jak to z tymi arystokratami bywa. Ale przyjdzie niezawodnie. Inaczej by mnie tu nie było.

Kamil pomyślał, że raczej niewiele na to wskazuje. Zachował tę ponurą myśl dla siebie i łowił wzrok brata. Najedli się. Ogrzali. Trzeba było ruszać dalej, choć nie chciał zostawiać Księżniczki, która właśnie zaczęła krążyć po restauracji. Postąpiła chwilę w oknie, podeszła do drzwi, wróciła do stolika. Patrzyła na Kamila i Piotra jak na dorosłych.

– Czasem człowiek czeka całym sobą. Czekają kości i mały palec u nogi. Serce pompuje ci wielkie czekanie. A wszystko pompuje ci wielkie czekanie. A wszystko drwi. Te krzesła i ściany się z ciebie śmieją – mówiła. – Zegarek najgorszy. Długo się każda minuta, aż człowiek przestaje być sobą, zaklina świat i błaga boga, żeby Książę wreszcie przyszedł, żeby opuścił miejsce, w którym jest, i jechał bezpiecznie, szybko, ale bezpiecznie, żeby nie zatrzymały go milicja ani wypadek drogowy, i żeby już tutaj był. Myślę tylko o tym. Choć wiem, że póki myślę, nie przyjdzie, bo ludzie przychodzą wtedy, kiedy przestajemy o nich myśleć, choćby na chwilę. Im bardziej chcę, żeby już przyszedł, tym bardziej go odpędzam. Straszne, prawda?

W tej chwili wydała się bezbronna i naga, mimo czerwonej sukienki. Nagle, wbrew jej słowom, do restauracji wparował tęgi facet dobrze po czterdziestce, w jasnym garniturze z guzikami z masy perłowej. Złociły się spinki, sygnety. Księżniczka rzuciła mu się na szyję, obsypała pocałunkami, a on zakręcił nią młynka i to tak, że runęło krzesło, trącone obcasem.

– Ty przedszkole zakładasz? – zapytał rozbawiony. Oczy miał jednak nieruchome i zimne. Księżniczka opowiedziała szybko, że chłopcy się zgubili, łążą z rybą po mieście i powinni wrócić do zmartwionych rodziców. Książę stanął przed braćmi.



Kup książkę